



# CZAS ZMIAN

WIKTORIA GISCHE

MANDO 

© Wydawnictwo WAM, 2020

Opieka redakcyjna: Agnieszka Ćwieląg-Pieculewicz

Redakcja: Agnieszka Zielińska

Korekta: Katarzyna Onderka, Alicja Laskowska

Projekt okładki: Paweł Szczepanik / BookOne.pl

Zdjęcia na okładce: © Agneskantaruk/Shutterstock; © Ildiko Neer/Arcangel Images

Skład: Lucyna Sterczewska

ISBN 978-83-277-2550-9

MANDO

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200

[www.wydawnictwomando.pl](http://www.wydawnictwomando.pl)

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496

e-mail: [handel@wydawnictwomando.pl](mailto:handel@wydawnictwomando.pl)

Druk i oprawa: SKLENIARZ • Kraków

Publikację wydrukowano na papierze Ecco book cream 70 g vol. 2.0  
dostarczonym przez Antalis Poland Sp. z o.o.

# Rozdział 1

Julian włożył zmarznięte dłonie w kieszenie płaszcza. Postawiony kołnierz chronił go od silnie wiejącego wiatru, który wzmagał odczucie chłodu. Grudzień roku 1918 był mroźny i śnieżny. Hrabia Michałowski podążał żwawym krokiem przed siebie, pragnąc jak najszybciej znaleźć się w ciepłym domu Rozalii. Nie pamiętał, kiedy ostatnio do niej zaglądał.

Jego uwagę zwrócił radosny śmiech dzieci dokazujących na pobliskim skwerze. Przystanął na chwilę. Nieopodal najwyraźniej toczyła się śnieżna bitwa. Chłopcy *versus* dziewczynki. Uśmiechnął się na wspomnienie takich zabaw. Nagle jedna z zabłąkanych śnieżnych kul wylądowała na jego płaszczu. Śmiech zamarł na ustach dzieci, które jakby rażone piorunem stanęły, czekając na jego reakcję. Powoli zerknął na biały kleks zdobiący przód ciepłego okrycia, a potem, niespiesznie, trzymając swawolników w niepewności, pochylił się, żeby zagarnąć nieco białego puchu. Śnieg był ciężki i lepki, dlatego jego śnieżka była prawie idealnie kulista. Wziął lekki zamach i wycełował w stojącego najbliżej zatrwożonego chłopca, a potem rzucił się ze śmiechem w stronę dzieci. Te z piskiem rozbiegły się po skwerku, formując naprędce śnieżki, które po chwili poleciały w kierunku Juliana. Michałowski zauważył, że strony walczące do tej pory między sobą w obliczu wspólnego zagrożenia zawarły szyki, zawiązując tymczasowy, nieformalny pakt o nieagresji. Zabawa trwała w najlepsze, kiedy Julian dostrzegł zbliżających się w jego kierunku dwóch mężczyzn.

Od razu rozpoznał przedstawicieli Straży Obywatelskiej, którą Rada Miejska uformowała na początku listopada. Nie miał nic przeciwko jej powołaniu. Na przestrzeni kilku ostatnich tygodni okazali się bardzo przydatni, jak choćby parę dni po powstaniu Żydowskiej Rady Narodowej, kiedy to kilkunastu mieszkańcom nie spodobała się ta nowa, najważniejsza reprezentacja ludności żydowskiej. Tylko dzięki szybkiej reakcji strażników skończyło się na niegroźnej szarpaninie i słownych obelgach, w jaką krewcy młodzieńcy, sądząc po ubraniach, pochodzący z dobrych domów, wdali się z młodzieńcami z dzielnicy żydowskiej.

Strażnicy byli już na wyciągnięcie ręki. Dopiero po krótkiej chwili dzieci zdały sobie sprawę, że młody, elegancko ubrany mężczyzna, który stał się częścią ich bitwy, zatrzymał się. Reszta uczestników poszła w jego ślady, a radosny śmiech zamarł nagle na spierzchniętych od wiatru ustach.

– Co tu się dzieje? – Starszy z mężczyzn obrzucił dzieci surowym spojrzeniem. Tymczasem młodszy bacznie przyglądał się Julianowi.

– Bitwa na śnieżki – odparł hrabia.

– Pan zdaje sobie sprawę, że nie należy zakłócać porządku? – zapytał starszy strażnik. Julian nie odpowiedział na te słowa.

Wystarczyło mu jedno spojrzenie, aby ocenić stojących przed nim. Służbiści. Nadgorliwcy. Formaliści. Bardziej papiescy od papieża. Znał ten typ. Żadne tłumaczenia nie wystarczyły i nie były brane pod uwagę, dlatego wolał milczeć niż strzepić język po próżnicy.

– Proszę nie wszczynać zamieszania – warknął młodszy, odwracając się w stronę dzieci, które nie czekając na dalszy rozwój wypadków, pobiegły przed siebie, zostawiając Juliana samotnie na polu bitwy.

Michałowski wzruszył tylko ramionami, nie kwapiąc się do dalszej dyskusji. Bezcelowej, tego był pewien. Zresztą i tak nie miałyby ona już większego znaczenia, skoro zabawa została bezceremonialnie zakończona. Ruszył przed siebie, uśmiechając się szeroko. Czuł się

zrelaksowany i beztroski jak dziecko. Potrzebował takiego odprężenia. Większość mieszkańców potrzebowała. Radość z odzyskanej wolności już dawno opadła, a w jej miejsce pojawiła się troska i strach o przyszłość, która na razie nie wyglądała obiecująco.

I chociaż miastu oszczędzono ciężkich walk, ślady wojny były widoczne na każdym kroku. Zniszczone ulice, Planty i inne zielone skwery, a na Dietla ziejące czernią okopowe dziury, przypominające o niedawnej tragedii. Julian wzdrygał się, mijając namacalne świadectwa ludzkiego okrucieństwa. Ale nie tylko drogi, ulice, chodniki czy domy doznały uszczerbku. Doznali go przede wszystkim mieszkańcy Krakowa. Wciąż brakowało żywności. Ludzie chodzili głodni, zmęczeni, zrezygnowani, zmarznięci, ponieważ stan zaopatrzenia miasta w opał był katastrofalny. Braki wszystkiego odczuwano na każdym kroku, ale najgorszy był brak bliskich, którzy albo nie wrócili z wojny, albo zostali zabrani przez grypę hiszpankę, jaka niedawno przetoczyła się przez miasto.

– Uważaj, jak leziesz! – Donośny krzyk tuż przy uchu otrzeźwił Juliana.

Hrabia natychmiast się zatrzymał, odskoczył nieco do tyłu i jednocześnie kiwnął przepaszająco woźnicy, który manewrował wozem tak, żeby nie potrącić przechodnia.

Dość tego czarnowidztwa, pomyślał. Czas spojrzeć w przyszłość, która z wolna zaczynała się klarować. Nie tak dawno podjął ważną decyzję i pragnął się nią dziś podzielić z Rozalią. Miał szczerą nadzieję, że kroki, które zamierzał podjąć, w pewnym stopniu zwrócą mu dawne życie.

W tym celu zajrzał dziś na Uniwersytet. Chciał się wywiedzieć, jakie ma szanse na podjęcie dalszych studiów, które zamierzał zakończyć obroną pracy doktorskiej. Miał nadzieję spotkać profesora Bobrzyńskiego, ale z uwagi na wciąż trwające zawieszenie wykładów – wprowadzone na prośbę samych studentów, pragnących wstąpić do armii,

aby wesprzeć walkę o niepodległość tam, gdzie wciąż trwała – skład kadry był mocno okrojony.

Julian zamyślił się tak bardzo, że dopiero mdły smród, który nagle wdarł się do jego nozdrzy, przywrócił go do rzeczywistości. Rozmyślając o przeszłości i przyszłości, skręcił nieuważnie w ulicę Jabłonowskich, na której od niedawna funkcjonowała jatka uruchomiona przez magistrat. Sprzedawano w niej podroby i głowy w półkach po możliwie najniższych cenach, tak aby na odrobinę czegoś, co mogło nosić nazwę mięsa, było stać nawet najuboższych. A ich szeregów zwiększały się z dnia na dzień. Nietrudno było wśród stałych tu bywalców dostrzec nowych. Ostrożnych, złęcznionych, jakby nie na miejscu, noszących wciąż jeszcze dobre i drogie ubrania, kupione kiedyś, kiedy świat wyglądał zgoła inaczej.

Julian odwrócił wzrok i przyspieszył kroku, jakby prędkość, z jaką się oddalał, miała uchronić go przed podzieleniem losu ludzi stojących w kolejce.



Wreszcie w oddali zamajaczył zarys ażurowego ogrodzenia, które oddzielało posiadłość Tojewa od ulicy, dziś pustej i dziwnie przygnębiającej, chociaż biel śniegu powinna łągodzić krzywizny domów stojących wzdłuż drogi. Szare, wolno sunące w stronę nieba smugi dymu tylko wzmacniały to wrażenie. Julian przystanął na chodniku, tuż obok ozdobnej furtki. Już za pierwszym razem, kiedy miał przyjemność tu gościć, w myślach pogratulował twórcy ogrodzenia talentu, zręczności, precyzji i zapewne morza cierpliwości, jakiej wymagała praca nad płótnem, który sam w sobie stanowił małe dzieło sztuki. Hrabia przeniósł wzrok na park. Konary wiekowych drzew uginały się od śniegu. Cieńsze gałązki smętnie zwisały aż do ziemi, niemo prosząc o zdjęcie ciężaru z ich barków. Zarys neogotyckiego pałacyku, ukrywającego się za bezlistnymi drzewami, z grubą czapą śniegu na dachu,

przyciągnął wzrok Juliana. Wreszcie Michałowski nacisnął klamkę i otworzył furtkę. Gestowi temu towarzyszyło ciche skrzyknięcie, które brzmiało jak słaby protest przeciwko zakłócaniu panującego spokoju.

Już miał sięgnąć po kołatkę w formie lwiej głowy, kiedy nagle drzwi otworzyły się na oścież.

– Zastanawiałam się, czy wejdiesz, czy jednak zdezerterujesz? – Rozalia uśmiechnęła się do brata.

– Podziwiałem to surowe piękno, które uwidacznia się tylko zimą – powiedział, przekraczając próg i zamykając za sobą drzwi. Nie chciał pozwolić na niepotrzebną utratę tak cennego ciepła. – Śnieg dodaje tajemniczości. Wszystko zmiękcza, upiększa, ale niektóre rzeczy nawet w tej scenerii wyglądają posępnie i przygnębiająco.

– Gdybym cię nie znała, pomyślałabym, że jesteś w nastroju melancholijnym. To do ciebie niepodobne. Radość, ciekawość, energia, złość, a ostatnio nawet agresja. Tak, to Julian, ale melancholia i zaduma? – Na chwilę pomiędzy rodzeństwem zapadła cisza. – Wejdz. Chyba nie zamierzasz stać w korytarzu. Chociaż... – Słowa zawisły w powietrzu. – Jeżeli przysłała cię matka i przychodzisz tylko z jej polecenia, to nie kłopotcz się zdejmowaniem okrycia. Nie zamierzam na nic się zgadzać.

– Nie wiem, o czym mówisz, ale mam niezmienną ochotę się dowiedzieć. – Ruszył za Rozalią, która prowadziła go do niezbyt dużej, ale przytulnej biblioteki.

– Teraz, kiedy mamy taki problem z opałem, proszę, żeby palono tylko w bibliotece oraz wieczorem, kilka godzin przed snem, w sypialni. Spoglądając na dom, musiałeś zapewne zauważyć, że szyby w większości okien pomalował szron. Nie tylko u mnie. Sąsiedzi także narzekają na panujące zimno, przed którym nie ma ucieczki, nawet w domowych pieleszach. Gdybym była dzieckiem, pewnie cieszyłyby mnie te małe dzieła sztuki, ale teraz modłę się już o nastanie cieplejszych dni. Usiądź. Pójdę poprosić o ciepłą herbatę i coś do zjedzenia.

Wygładasz na przemarzniętego i głodnego. Czyżbyś dotarł do mnie pieszo?

– Pomyślałem, że zrobię sobie mały spacer. Po kilkunastu metrach pożałowałem, ale nie miałem zamiaru łatwo się poddawać. Potem ucieszyłem się z tego pomysłu. Nie uwierzysz, zresztą sam nie dałbym wiary, gdyby ktoś dziś rano powiedział, że wezmę udział w prawdziwej bitwie.

Rozalia uniosła jedną brew. Julian zauważył to po raz pierwszy. Nie pamiętał, aby wcześniej tak robiła.

– Przez przypadek stałem się uczestnikiem zażartej wojny na śnieżki, którą niestety przerwali nadgorliwcy ze Straży Obywatelskiej. Przy najmniej przez tych kilka minut mogłem zapomnieć o szarym życiu.

Westchnął, ale na jego twarzy natychmiast pojawił się szeroki uśmiech. Rozalia odpowiedziała tym samym. Od tak dawna nie widziała prawie szczęśliwego Juliana.

– I tak, masz rację. Jestem wyziębiony i koszmarnie głodny, więc jeśli to nie problem, chętnie napiłbym się gorącej herbaty albo czegoś mocniejszego. Albo gorącej herbaty i czegoś mocniejszego. I zjadłbym coś. – Spojrzał na siostrę tak niewinnym wzrokiem, że Rozalia nie mogła się nie roześmiać.

– A skoro mowa o strażnikach, ostatnio widziałam ich, jak pomagali dziewczętom z Organizacji Słuchaczek Uniwersytetu ładować dary z pomocą dla Lwowa. Kiedy je zobaczyłam, od razu pomyślałam o Eleonorze. – Nie zamierzała o niej wspominać i dlatego teraz z niepokojem, czy aby nie popsuka bratu radosnego nastroju, spojrzała na Juliana. Ten niedawno skończył przygotowany posiłek i teraz raczył się resztką ciepłej herbaty, którą Rozalia zgodnie z jego prośbą wzmocniła rumem.

– Kiedy przyszedłem, wspomniałaś coś o matce. Czy oświecisz mnie w tej materii? – Julian nie zamierzał podejmować wątku Eleonory. Rozalia uszanowała zmianę tematu.



– Chodzi o święta. Dostałeś zapewne zaproszenie na kolację wigilijną oraz na obiad w pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia, na który ma się zjechać także dalsza rodzina. Matka wymieniała sporo imion i nazwisk, ale pogubiłam się na samym początku. Podziękowałam i obiecałam, że przyjdę. I wtedy matka zapytała, czy Tojew też się pojawi. Zresztą pytała o niego już kilka razy. Nawet ojciec zainteresował się jego nieobecnością.

Julian miał zamiar dodać, że faktycznie ciągły pobyt Tojewa w Wiedniu należy uznać za afront, ale Rozalia, jakby uprzedzając jego zamiary, zgromiła go wzrokiem. Słuchał więc, nie komentując niczego. Na razie.

– Odparłam, że Mikołaja nie będzie. Przyjdę sama. I wtedy matka powiedziała, że Boże Narodzenie to święta rodzinne, a skoro tak, to należy je spędzać w gronie najbliższych, a mąż zalicza się do tego grona jak nikt inny. Chciałam go wytłumaczyć, ale znasz mamę: dodała, że albo przyjdziemy razem, albo mam nie przychodzić wcale, żeby nie wywoływać lawiny pytań, jak to ujęła, chcąc nieco złagodzić ostrość wypowiedzi. Jakiś czas temu przejrzałam na oczy. Już nie tak łatwo mnie nabrać i na pewno nie dam sobą manipulować. Więc jeżeli przysłała cię, żeby zakomunikować, że daje zezwolenie, abym przyszła sama, to przekaż jej, że przyjełam już inne zaproszenie.

– Nie martwi cię bezustanna nieobecność męża? Rozumiem, że Tojew nie był wymarzonym wybrankiem, ale skoro oboje podjęliście decyzję założenia rodziny i związania się węzłem małżeńskim, jego ciągła absencja jest nie tyle dziwna, ile oburzająca i uwłaczająca. Wiesz, o czym to może świadczyć? Może nie jesteś jedyną kobietą w życiu Tojewa?

Uśmiech Rozalii powiedział Julianowi więcej niż tysiąc słów.

– A więc jednak Tojew będzie zobligowany dać mi satysfakcję, której już raz uniknął dzięki twoim i Eleonory staraniom. Tym razem nie pozwolę, aby jego niegodne zachowanie rzutowało na moją siostrę, a pośrednio także na całą rodzinę.

– Och, Julianie. – Rozalia westchnęła głośno, prawie dramatycznie. – Przez większość życia uważałam cię za człowieka postępowego. Wychodzącego poza określone ramy. Nieprzejmującego się zasadami, które niczym kajdanki krępowały twój sposób bycia. Tymczasem myślałam się. Zdaje mi się, że to tylko poza dla świata, a w rzeczywistości jesteś jak ojciec i matka. – Podniosła rękę, nie pozwalając bratu dojść do głosu. – Nie, nic nie mów. Wszystko, co powiesz, i tak nie będzie miało znaczenia. Żadnego pojedynku nie będzie, a z pewnością nie w obronie mojej czci. Gdybym ci na to pozwoliła, byłabym okropną hipokrytką.

– Nie rozumiem. Chcesz przez to powiedzieć, że...

– Oczywiście, że rozumiesz, i wiesz dokładnie, co chcę powiedzieć. Może cię to nieco dziwić, może nawet bulwersować, ale nie próbuj mnie potępiać. To są sprawy między mną a moim mężem i skoro doszliśmy do porozumienia, nie zamierzam tłumaczyć się bratu. Widzę, że chcesz mnie upomnieć, strofować. Niczym matka wygłaszać kazania. Proszę, nie rób tego. Obawiam się, że któregoś z nas może powiedzieć o jedno słowo za dużo. Proszę cię także, żebyś nie pytał, kto to, gdzie i kiedy się poznaliśmy. Nie mam ochoty rozmawiać na ten temat, szczególnie że jest już nieaktualny.

Wypowiadając ostatnie słowa, Rozalia posmutniała, zaś Julian, chociaż bardzo się starał, nie potrafił ukryć delikatnego uśmiechu świadczącego o uldze, jaką poczuł na wieść, że romans Rozalii jest już wspomnieniem.

W bibliotece zapadła absolutna cisza, przerywana tylko miarowym tykaniem zegara i dalekimi odgłosami, jakie zazwyczaj słychać w domu, w którym toczy się życie.

– Wspomniałaś coś o zaproszeniu, które przyjąłaś na kolację wigilijną? Prawda to czy tylko wybieg, na wypadek gdyby jednak matka zmieniła zdanie?

– Pewnie kiedyś szukałabym prawdopodobnej wymówki, żeby nie skorzystać z wymuszonego zaproszenia i jednocześnie nie narazić

się na gniew matki, ale życie nauczyło mnie, że nie można bać się własnego cienia. Dziś nie potrzebuję już szukać wymówek. Gdybym nie wybierała się z wizytą, nawet otrzymawszy stosowne wezwanie do stawienia się w domu na wigilijną kolację, nie skorzystałabym. Odmówiłabym uprzejmie, acz kategorycznie.



Julian szedł powoli przed siebie, nie zważając na mróz, który teraz, kiedy zrobiło się już całkiem ciemno, znacznie przybrał na sile. Jako dziecko uwielbiał wsłuchiwać się w każde, najdrobniejsze nawet skrzypnięcie śniegu chrzęszczącego pod butami. Szedł wtedy wolno, noga za nogą. Włókł się przez to niemiłosiernie, denerwując matkę, która nawet wtedy, kiedy ze zdenerwowania gotowała się w niej krew, na zewnątrz wyglądała niczym uosobienie spokoju. I chociaż dzisiajszego wieczoru śnieg chrzęścił w rytm jego wolnych kroków, Julian nie zdawał sobie z tego sprawy. Myśli młodego hrabiego zajmowała niedawno skończona rozmowa z siostrą. Rozalia długo nie chciała zdradzić, od kogo dostała zaproszenie i gdzie wybiera się na kolację wigilijną. Prosił ją, błagał, w końcu zagroził, że obrazi się śmiertelnie, śmiejąc się oczywiście przy tych słowach. Widać jednak jego desperacka chęć poznania tajemnicy sprawiła, że Rozalia wreszcie wyznała mu prawdę.

– Jakiś czas temu spotkałam na mieście Teklę Schramm. Przeszłabym dalej, nie poznawszy jej, ale ona najwyraźniej nie miała takiego problemu, ponieważ zagadnęła mnie od razu. Muszę powiedzieć, że chociaż nie miałam okazji poznać Schrammowej na tyle dobrze, aby ferować wyroki o jej charakterze, z pewnością mogę powiedzieć, że na jej twarzy malowało się prawdziwe zmartwienie i tęsknota. Wyznała mi, że strasznie tęskni za córkami. Stefcia, jak wiesz, wyjechała do Wiednia, Eleonora zaś do Paryża.

Julian westchnął na wspomnienie ich ostatniego spotkania na peronie. Miał wówczas szczerą nadzieję, że kiedy Eleonora odkryje,

co wrzucił do kieszeni jej płaszcz, zrezygnuje z wyjazdu. Nie, nie był aż tak naiwny, żeby wierzyć, że od razu wróci do niego, założy pierścionek i zapomni o jego okrutnym wobec niej zachowaniu, ale gdzieś głęboko chciał wierzyć, że nie wyjedzie.

– Julianie, Julianie! – Rozalia podniosła głos. – Czy ty mnie w ogóle słuchasz?

– Przepraszam, zamyśliłem się. – Mówiąc to, zrobił skruszoną minę.

– Nie umknęło to mojej uwadze. A więc, kiedy tak opowiadała o pustym domu, pozbawionym śmiechu dziewcząt, coś we mnie drgnęło i sama nie wiem dlaczego, powiedziałam matce Eleonory, że najpewniej ja w tym roku również spędzę święta w małym, zaledwie jednoosobowym gronie. Kiedy Schrammowa usłyszała, że zamierzam sama jak palec siedzieć przy wigilijnym stole, od razu wystosowała zaproszenie i nie miałam możliwości go odrzucić. Ta kobieta potrafi być nieprzejeđnana.

– Coś mi się zdaje, że nie musiała namawiać cię aż tak długo, prawda? – Julian mrugnął do siostry.

Rozalia zdążyła zauważyć, że zachowywał się dziś dużo swobodniej. Naturalnie. Gdyby nie melancholia, która nachodziła go od czasu do czasu, sprawiając, że zamyślał się na chwilę, zatapiał w świecie wspomnień, a może marzeń, powiedziałaaby, że rozmawia z dawnym Julianem.

– Masz rację. Nie musiała prosić zbyt długo. W końcu jaka czekałaby mnie perspektywa? Samotność. Nie, dziękuję. Wierzę, że to będzie cudowna kolacja. – Rozalia zamilkła na chwilę. Siedzieli w ciszy przez jakiś czas, każde pogrążone we własnych myślach. – A może poszedłbyś ze mną?

I właśnie teraz, wracając do domu, wciąż zastanawiał się nad propozycją Rozalii, choć przecież odrzucił zaproszenie szybko, jednoznacznie i, jak powiedział, nieodwołalnie. W swym zamyśleniu nawet nie zauważył, kiedy z Kanoniczej stanął na Grodzkiej i zatrzymał

się przy domu, w którym wieki temu mieszkał mistrz Stwosz. Palce Juliana, jakby prowadzone niewidzialną ręką, dotknęły czarnej opaski przysłaniającej pusty oczodoł. Przypomnił sobie słowa ojca, który oprowadzając jego i Rozalię po mieście, snuł opowieści o ciekawych miejscach i ludziach z nimi związanych.

„Trzeba wam wiedzieć – mówił ojciec, patrząc na Juliana, który pożerał każde jego słowo – że mistrz Stwosz nie był człowiekiem wolnym od wad i grzechów. Kiedy skończył pracę nad naszym pięknym ołtarzem, przeprowadził się do Norymbergi. Tam zainwestował sporą sumę pieniędzy, które niestety stracił, a chcąc je odzyskać, najpierw sądził się w majestacie prawa, a potem, kiedy zapadł wyrok nie po jego myśli, dopuścił się fałszerstwa. Z tego też powodu musiał schronić się w klasztorze, w którym służył jego syn. Dzięki wstawiennictwu zięcia uszedł z życiem. Kary jednak nie uniknął. Jako fałszerza naznaczono go, odciskając rozżarzoną przętą piętno na obu policzkach mistrza”.

Ja przynajmniej straciłem oko w szlachetnej walce, ty oszczędziłeś się na własne życzenie, pomyślał Julian, zwracając się twarzą w stronę kamienicy, jakby w którymś z jej okien miał zobaczyć twarz rzeźbiarza, ale zamiast naznaczonych policzków widział tylko ciemne oczodoły okien. W końcu ruszył dalej.

Nogi same zanosły go na Planty. Przez mieszkańców uznawane za najpiękniejszy park, niczym wianek na dziewczęcej głowie otulający śródmieście. Uspokajająca oczy zieleń ustąpiła miejsca skrzęcej się w świetle księżyca bieli.

Wspomnienie spaceru z Eleonorą wdarło się nieproszenie do głowy Juliana. Czysta panująca o tej porze na Plantach została zagłuszona rozmowami i śmiechem przechodniów, których mijali tamtego dnia, w czerwcu jeszcze przed wybuchem wojny. Przed oczami stanęły Julianowi obrazy tak żywe, jakby wszystko zdarzyło się nie przed kilkoma laty, a ledwie przed paroma dniami. Upalny letni dzień. Ławki zajęte

przez złąknionych promieni słonecznych krakowiaków. Wypełnione po brzegi kawiarenki. Beztraska, śmiech, gwar.

– Czy wiesz, że niebawem minie sto lat od ich założenia? Dziś to nie do uwierzenia, ale kiedyś jak okiem sięgnąć ciągnęły się tu wały i rowy forteczne. – Eleonora zatoczyła ręką krąg, chcąc tym gestem zobrazować swoje słowa. – Tylko dzięki umiejętnościom Radwańskiego oraz funduszom Straszewskiego możemy cieszyć się tym miejscem. – Przerwała, patrząc karcąco na Juliana. – Śmiejesz się ze mnie? – Na jej policzkach pojawił się delikatny rumieniec. Julian zdążył się już zorientować, że nie był to bynajmniej rumieniec zażenowania, raczej wzburzenia, żeby nie powiedzieć: gniewu.

– Gdzieżbym śmiał. – Uśmiechnął się szerzej, prowokując ją jeszcze bardziej. Oczy Eleonory ciskały gromy. – Nie śmieję się z ciebie, tylko do ciebie. Jestem oczarowany twoją wiedzą.

– Dziękuję za komplement, ale to nic takiego – odpowiedziała spokojnie. – Wystarczy poszukać i poczytać. Jak mówi moja mama, chociaż akurat nie w kontekście nauki, dla chcącego nic trudnego.

Odgłos kłótni, najpewniej pijackiej, zbliżających się delikwentów przywołał Juliana do rzeczywistości. Hrabia żwawo ruszył przed siebie. Nie miał ochoty na przepychanki, czy to słowne, czy inne. Najwyższy czas wrócić do domu, pomyślał, chowając głowę w kołnierzu płaszcza. Był głodny i zmarznięty. Długi spacer nie pomógł mu powziąć decyzji, bo chociaż powiedział Rozalii, że nie ma zamiaru brać udziału w kolacji u Schrammów, wcale nie był tego taki pewny.

## Rozdział 2

– Byłam dziś u Dutkiewicza...

Słowa Tekli wyrwały Jana z zamyślenia.

– U kogo?

– Nie słuchasz. – Nie było to pytanie, lecz stwierdzenie. – Jak zwykle ostatnio. – Jan zerknął w stronę żony. Minę miał skruszoną, nie mógł bowiem zaprzeczyć.

– Bardzo cię przepraszam, ale wciąż rozmyślam nad propozycją, którą złożono mi przed kilkoma dniami, abym jako człowiek zajmujący się finansami i od lat szanowany za uczciwość wobec klientów, czy to prywatnych, czy firmowych, przyjął stanowisko w Komitecie dla Zwalczenia Lichwy. Sama musisz przyznać, że władarze miasta wykazali się zmysłem przewidywania, powołując komitet do życia. Nie trzeba robić zakupów, żeby wiedzieć, jaka panuje na mieście drożyzna, nie wspominając już o tych, którzy w ludzkiej desperacji szukają okazji do szybkiego, acz nieuczciwego zarobku, użyczając pieniędzy na niebotyczny procent.

– A więc właśnie o tym chciałam ci powiedzieć...

– O wysokości stóp procentowych? – Jan po raz kolejny wszedł Tekli w słowo.

Małżonka zmierzyła go ostrym wzrokiem, chcąc przywołać go do porządku. Od czasu szczerzej rozmowy, którą przeprowadzili na temat małżeństwa, ich wzajemne stosunki uległy zmianie, bynajmniej nie na gorsze. Miał wrażenie, że ich rozmowy, sposób bycia i wzajemne

postrzeganie stało się jakby bardziej szczerze, niewymuszone i naturalne. Tak jak teraz.

– Mów. Obiecuję nie przerywać. – Uśmiechnął się szeroko. Tekla, choć bardzo starała się zachować powagę, żeby dać Janowi do zrozumienia, że jego zachowanie ubodło ją nieco, odwzajemniła uśmiech.

– Zatem byłam u Dutkiewicza, w sklepie nieopodal.

Jan pokiwał głową. Faktycznie na Rynku, na linii A–B, znajdował się skład, o którym mówiła Tekla.

– Zawsze w okresie przedświątecznym zachodziłam do niego, żeby podyktować sprawunki, które potem jeden z jego pomocników przynosił do domu. Nigdy niczego tam nie brakowało. Wybór u Dutkiewicza zawsze był przepyszny, każda szanująca się pani domu to potwierdzi. Kawa w najlepszym gatunku, nie to co u innych. Podobnie zresztą jak herbata. Pierwszorzędne liście, a nie jakaś nieokreślona zbieranina. Pachnąca czekolada i aromatyczne kakao, za którym przepada Stefcia. Zrobiłam całą listę. Potrzebujemy wszystkiego. Kawy, herbaty, bulionów na zupy, serów, masła, najlepiej nieco słonego, takiego jak lubi Eleonora. Przydałyby się też migdały, rodzynki, a i figami bym nie pogardziła. Nasza Joasia wspomniała też, że kończą się mąka, ryż, krochmal, potrzebny na świąteczne obrusy, oliwa i świece, także te na choinkę, o ile w ogóle drzewko stanie w tym roku w salonie.

– Rozumiem, że wszystko zamówione i tylko patrzeć, jak zaczną znosić pudła do domu?

– Na jakim ty świecie żyjesz? – Tekla wzniosła oczy, jakby w górze szukała pomocy. – Półki u Dutkiewicza może nie świecą jeszcze pustkami, ale zapewne już wkrótce zaczną. Skład reglamentuje towary. Owszem, dostałam wszystko, co znalazło się na liście, ale w tak małej ilości, że święta w tym roku nazwać skromnymi to jakby nic o nich nie powiedzieć. I jakby tego było mało, sklep będzie zamknięty już od Wigilii. Niepojęte. Niepojęte! – Tekla uniosła głos, wzburzona na samo wspomnienie niedawnych nieudanych zakupów.



– Faktycznie, świat stanął na głowie. Nigdy bym nie uwierzył, gdybym nie usłyszał z wiarygodnego źródła. Czy wiesz, że Stowarzyszenie Fryzjerów zamierza uchwalić dzień Bożego Narodzenia dniem wolnym? Też pokręciłem głowę z niedowierzaniem, ale uchwała zostanie niedługo ogłoszona. Zresztą nie tylko do mnie doszły te słuchy. Wczoraj jeden z klientów nie potrafił ukryć wzburzenia na myśl, że nie zostanie ogolony w tak ważne święto. We łbach się socjalikom powywracało, cały czas powtarzał. Nie chciałem dolewać oliwy do ognia i mówić mu, że są i tacy fryzjerzy, którzy z uwagi na wieloletnią znajomość zgodzą się przyjąć swoich wiernych klientów mimo mającej wejść uchwały.

– Gdyby tylko nieogolona męska broda była największym zmartwieniem mieszkańców, bylibyśmy szczęśliwcami. – Tekla, która do tej pory chodziła miarowo po pokoju, wreszcie usiadła. – Jeszcze kilka dni temu, kiedy wróciliśmy od Dutkiewicza, martwiłam się rybami. Wszak Wigilia bez karpia lub lina to nie Wigilia. Ale dziś rano Joasia przyniosła cudowne wieści. Miejskie Biuro Apropowizacyjne będzie od soboty przy placu Szczepańskim oraz w parku Krakowskim sprzedawać ryby.

– Chciałoby się powiedzieć, że chociaż raz pomyśleli, ale okazuje się, że w tym roku myślą cały czas. Imaginuj sobie, że magistrat zamierza wprowadzić urzędowe ceny pieczywa. Ciemny chleb będzie kosztować cztery korony, ale biała strucla niestety dwanaście.

– Joasi udało się przedwczoraj zdobyć pierniki miodowe. Za kilogram zapłaciła dwadzieścia cztery korony. Drożyzny takiej nie było nawet w czasie wojny. A przecież trzeba kupić jeszcze mięso i wędliny. Niestety rzeźnicy nie wzięli przykładu z piekarzy i cukierników. Windują ceny z dnia na dzień. Czy magistrat nie mógłby się zająć i tym problemem?

– Przypuszczam, że... – Jan przerwał w pół słowa. – A cóż to za harmider?

Tekla zerwała się z fotela. Z przedpokoju dochodziły niepokojąco podniesione głosy: dziwne pokrzykiwania, coś na kształt biadolenia, a potem wybuch gromkiego śmiechu.

– Na Boga! – krzyknęła, stając w drzwiach gabinetu. Tuż za jej plecami przeciskał się równie ciekawski Jan. – Na Boga! Czy ty widzisz to co ja? Nasza Stefcia wróciła!

Nie czekając dłużej, szybkim krokiem podeszła do córki, która wciąż stała przy drzwiach wejściowych, i objęła ją tak mocno, że dziewczyna nie potrafiła wydobyć głosu.



Tego wieczora rodzina bankiera położyła się znacznie później niż zwykle. Wybuchom radości z nagłego, niezapowiedzianego powrotu córki nie było końca.

– Dlaczego nie napisałaś, że przyjeżdżasz? – zapytał Jan, kiedy wreszcie uszczęśliwiona Tekla zamilkła i pozwoliła na spokojniejszą rozmowę.

– Nie wiedziałam, że wrócę do Krakowa jeszcze przed świętami. Tego, że wyjechałam, pożałowałam dość szybko. Tęskniłam za domem. Za wami. Myślałam, że wyjazd coś zmieni. Że szybciej zapomnę albo przynajmniej żal będzie mniejszy. Strasznie się myliłam. Tam, w obcym miejscu, czułam się jeszcze gorzej. Smutek był większy, bo i tęsknota ogromna. Postanowiłam, że wrócę, jak tylko nadarzy się okazja. Wiedziałam jednak, że jeżeli nie uda mi się wyjechać z Wiednia przed Bożym Narodzeniem, przybędę do Krakowa zaraz po Nowym Roku. Modliłam się gorąco i chyba zostałam wysłuchana, ponieważ nie dalej jak dziesięć dni temu spotkałam przed katedrą św. Szczepana Frau Goldbaum. To dzięki jej uprzejmości jestem teraz w domu. Przyjechałyśmy razem.

– Nie wiedziałem, że Frau Goldbaum wyjechała z Krakowa. – Tekla zerknęła na Jana, który wzruszył tylko ramionami.

– Przyjechała do Wiednia na początku grudnia, tylko na kilka dni. Nie chciałam być wścibska i wypytywać, więc wiem tylko tyle, ile sama mi powiedziała. Była tam w sprawach, które prowadził kiedyś

jej zmarły mąż. Frau Goldbaum nie powiedziała tego wprost, ale mam dziwne przeczucie, że pragnie jego interesy, prowadzone obecnie przez pełnomocników, przenieść do Krakowa.

– Janie, a co z cukrownią?

– Wojna pozmieniała priorytety, Teklo. Ludzie martwili się innymi sprawami, nawet tacy jak Michałowscy. Któż miał czas myśleć o budowie cukrowni? Mam w planie skontaktować się po Nowym Roku z hrabią i zapytać, jak widzi jej dalsze losy. Czy wciąż utrzymuje chęć jej wzniesienia? Wszak budowa już rozpoczęta. Moim zdaniem należałoby działać dalej. Gdyby poszło dobrze, bez dalszych przeszkód, pod koniec przyszłego roku wszystko byłoby ukończzone. A skoro i Frau Goldbaum jest w mieście, to i z nią należałoby omówić tę kwestię. W końcu zawiązaliśmy spółkę.

Jan zerknął na Steficię, która siedziała naprzeciwno. Choć ze wszystkich sił starała się uważnie słuchać i nadażać za wymianą zdań, oczy same jej się zamykały. Ziewnęła szeroko.

– Przepraszam, ale jestem zmęczona. Położę się spać. Dobranoc. Mamo, tato. – Z tymi słowami wyszła z gabinetu i cicho zamknęła za sobą drzwi. Na odchodnym usłyszała jeszcze, jak rodzice życzyli jej dobrej, spokojnej nocy.

Powoli skierowała się w stronę sypialni, którą nie tak dawno dzieliła z Eleonorą. Cieszyła się z powrotu, ale gdzieś w głębi serca wciąż przygniatał ją smutek. Kiedy stanęła przed drzwiami rodzinnego domu, przypomniała sobie dzień, w którym po raz pierwszy spotkała Mikołaja. Wszystko, co z nim przeżyła, wróciło ze zdwojoną siłą. Ze zdwojoną siłą wróciła też świadomość, że już nigdy go nie zobaczy. Nigdy nie miała okazji spędzić z nim Bożego Narodzenia. Nie było wspólnej Wigilii. Wspólnej pasterki.

I nigdy już nie będzie, pomyślała, kładąc się do łóżka.



– Nie zamierza się pan chyba pożegnać, Julianie? – Jan Schramm zwrócił się do Michałowskiego, który zatrzymał się tuż przy drzwiach kamienicy Pod Irysami. Niebawem miała się rozpocząć pasterka, w której zgodnie z tradycją uczestniczyła rodzina bankiera. – Ucieszyła nas pańska wizyta na kolacji i radzi byłibyśmy, gdyby poszedł pan z nami na mszę, chyba że uczestnictwo w niej jest niezgodne z pana sumieniem?

– Oczywiście, że nie. Nie pamiętam wigilii, która nie zakończyłaby się rodzinną wyprawą do kościoła. Niemniej jednak nie chciałbym nadwyręzać państwa cierpliwości i gościnności. – Julian zerknął w stronę oddalających się wolnym krokiem Tekli, Stefanii i Rozalii, zatopionych w rozmowie.

Długo się wahał i w końcu na dzień przed Wigilią postanowił, że zasiądzie do wieczerzy tradycyjnie, z rodzicami. Był zdecydowany, ale kiedy rankiem następnego dnia przypomniał sobie, że tego roku przy stole wigilijnym zgromadzą się dawno niewidziani, a przez to prawie całkiem obcy krewni, zmienił zdanie – co nie oznaczało, że przestał się wahać. Ba, był tak niezdecydowany, że kiedy w końcu wyszedł z domu, ulice Krakowa były zupełnie wyludnione, ponieważ większość jego mieszkańców albo już spożywała kolację, albo się do niej szykowała.

Szedł szybko, przygotowując w myślach słowa powitania i przeprosin za niespodziewane najście. Jego wzrok przyciągały mijane jasne okna, na których tle rysowały się sylwetki udekorowanych drzewek. Widząc je, od razu przypomniał sobie wykrzywioną grymasem niezadowolenia twarz matki, kiedy wiele lat temu przyniósł do domu ozdoby choinkowe kupione na straganie stojącym od strony ulicy Szewskiej podczas tradycyjnego świątecznego jarmarku. „Julianie” – Józefa Michałowska spojrzała na syna z niedowierzaniem, że mógł się

wykazać brakiem dobrego smaku. „Skąd ci przyszło do głowy, żeby kupować tę niemiecką tandetę? Straganiarze każdego roku zalewają nas tą miernotą, wmawiając nam, że te rzeczy mają duszę i są efektem prac utalentowanych rękodzielników, kiedy w rzeczywistości są zwykłą tandetą”.

Patrząc na dzisiejsze drzewka, które udało mu się dostrzec w drodze do kamienicy Schrammów, zastanawiał się, czy matka jak zwykle zawiesiła na choince ozdoby robione własnoręcznie, czy w końcu dla wygody pozwoliła wykorzystać te kupione na jarmarku.

– Kiedy pan zadzwonił do drzwi, proszę wybaczyć, w pierwszej chwili myśleliśmy, że to Eleonora.

Słowa Jana sprawiły, że Julian odgonił wspomnienia i skupił się na swoim rozmówcy.

– Nie chciałbym, żeby przez to, co przed chwilą powiedziałem, myślał pan, że nie ucieszyła nas pańska wizyta. Zresztą chyba nie ma wątpliwości, jaką radość nam pan sprawił.

– Pisku Stefcia długo nie zapomnę. – Julian uśmiechnął się szeroko.

Kiedy Franciszek, służący Schrammów, wprowadził go do salonu, gdzie przy stole siedzieli już Tekla, Jan, Stefania i Rozalia, najpierw zapadła cisza, która sprawiła, że zapragnął chyłkiem się wycofać. Konsternacja nie trwała jednak długo, ponieważ Stefcia nagle zerwała się z krzesła i z piskiem, nie bacząc na konwenanse czy dobre wychowanie, rzuciła się w jego stronę i przytuliła go mocno, niczym długo niewidzianego brata.

– Dlaczego nie powiedziałaś, że Julian przyjdzie? – zwróciła się do Rozalii. – Gdybyśmy wiedzieli, że zechcesz zasiać z nami do stołu, poczekalibyśmy z kolacją.

– Proszę wybaczyć to najście. Rozalia nie miała pojęcia, że przyjdę, ale kiedy prawie siłą wyciągnąłem z niej informacje, dokąd wybiera się w wigilijny wieczór, zacząłem się zastanawiać, czy do niej nie dołączyć. Wahałem się tak długo, że prawie przegapiłem kolację.

– O jakim najściu pan mówi, Julianie? – Tekla podniosła się z krzesła i podeszła do niego, wyciągając dłoń na przywitanie. – Proszę z nami usiąść. Pierwszy raz trafił do nas zbłąkany wędrowiec.

Jego niespodziewane przybycie wprowadziło nieco zamieszania, ale po kilku zaledwie chwilach ponownie siedzieli przy stole, przygotowując się do odmówienia modlitwy i złożenia życzeń.

– Jeszcze raz chciałem podziękować za chwile, jakie z państwem spędziłem dziś wieczorem. I dziękuję za zaproszenie na mszę. Będzie mi miło uczestniczyć w niej razem z wami. – Julian skinął bankierowi głową dla podkreślenia swoich słów. Niespiesznie ruszyli w ślad za paniami.

Z wieży Mariackiej popłynęła melodia kolędy *Wśród nocnej ciszy*, którą odgrywało dwóch trębaczy, zapraszając na pasterkę zmierzających w stronę kościoła mieszkańców miasta.

– Mam nadzieję, że jeszcze się zobaczymy – powiedziała Stefania, żegnając Juliana i Rozalię po zakończonej mszy. – Nie jutro oczywiście, bo w końcu kiedyś trzeba odpocząć, ale kto wie, może na św. Szczepana?

– Zamierzasz spacerować po mieście? – Rozalia z ciekawością spojrzała na Stefanię, która była tego dnia w wyjątkowo dobrym nastroju.

– Skądże znowu. Czasy, kiedy czekałam, aż zostanę obsypana owsem i confetti, już dawno minęły. Zresztą magistrat wydał zakaz, nazywając zabawę marnotrawstwem. Kiedyś wyśmiałabym taką argumentację, dziś muszę się z nimi zgodzić. A poza tym chyba jeszcze nie czas na takie swawole? – Oczy Stefanii zaszkliły się dziwnie.

– Ucieszyłabym się, gdybyś mnie odwiedziła. Państwo również będą mile widziani – powiedziała Rozalia, wyciągając ręce na pożegnanie.

Stefania ujęła obie jej dłonie. Przytuliła siostrę Juliana, potem bez słowa pożegnała się z młodym Michałowskim. Chwilę później z rodzeństwem pożegnali się także Jan i Tekla.

– Cieszę się, że zdecydowałeś się przyjść – powiedziała Rozalia, kierując się w stronę Grodzkiej.

– Ja też. – Julian ruszył za nią, raz jeszcze rzucając okiem na kamienicę Schrammów. Spędził wspaniałe chwile, ale jego szczęście nie było pełne.

## Rozdział 3

Jan zamknął gazetę. Nie odłożył jej jednak na stolik, tylko wciąż trzymając w ręce, gładził ją niczym miauczącego kota wylegującego się na kolanach znużonego pana. Na jego ustach zagościł dawno niewidziany uśmiech, a oczy błyszczały z podekscytowania.

– Od dawna nie widziałam cię tak zadowolonego – skwitowała siedząca naprzeciwko męża Tekla.

– Bo i są powody. Są powody, moja droga. Takiego ruchu dawno w naszym banku nie było. Zapomniałem, co to kolejka do kasy. Myślałem, że nic dobrego nas już nie czeka. A tymczasem moi kasjerzy uwijają się jak za dawnych dobrych czasów.

– Nie wiem, co w tym dziwnego. Wojna wyrządziła tyle złego. Zubożyła ludzi. Wielu pragnie żyć na poziomie, do jakiego przywykło, więc nie myśląc logicznie, odwiedzają banki i inne podejrzane nory, w których udziela się lichwiarskich pożyczek, żerując na sentymencie tych biedaków.

– I tu jesteś w błędzie. – Jan zaczął wertować gazetę, szukając interesującego fragmentu. – Zobacz. – Postukał palcem w miejscu, w którym zamieszczono odezwę rozpoczynającą się od słów Napoleona. – „Napoleon mówił, że aby pokonać wroga, potrzeba trzech rzeczy: pieniędzy, pieniędzy i pieniędzy” – przeczytał na głos, chociaż Tekla nasadziła na nos okulary i skłoniła się w stronę artykułu. – Ludzie nas odwiedzający nie przychodzą pożyczać, a kupować. Rzadko która odezwa kierowana do społeczeństwa odnosiła tak pozytywny



skutek, ale ta promująca pożyczkę państwową przechodzi najśmielsze oczekiwania. Myślałem, że tylko my, krakowianie, jesteśmy tak nieostrożnie hojni, ale ostatnio spotkałem starego znajomego. Wrócił niedawno z Warszawy, wcześniej przebywał w Poznaniu. Zresztą w ostatnich tygodniach z racji służbowych powinności dużo podróżuje po Polsce i wszędzie jest tak samo. Polacy postanowili pognębić wroga. Pożyczą państwu ostatni grosz, aby wreszcie raz na zawsze pozbyć się okupantów i stać się krajem prawdziwie niepodległym.

– Piękny gest, ale jak znam życie, niewiele znaczący. Jeżeli wróg będzie chciał nas pognębić, zrobi to z łatwością, jakiej sobie nawet nie wyobrażamy, i nawet ostatnia zdarta z pleców koszula go nie powstrzyma. Więc jeżeli pozwolisz, nie będę podzielać twojego entuzjazmu, zwłaszcza kiedy ceny w sklepach rosną z dnia na dzień. Wierz mi, wiem, co mówię. Ci, co dziś przyszli do banku z taką ochotą oddać swoje ciężko zaoszczędzone pieniądze, zjawią się znowu, ale już nie dać, a wziąć, nawet na wysoki procent. Nie jestem bankowcem, ale wiem jedno: że z pustego i Salomon nie należy. Pożyczać jest łatwo, trudniej oddać. I niech Bóg ma nas w opiece, abyśmy i my nie musieli stanąć w kolejce do jakiego krakowskiego żyda po pożyczkę.

W salonie zapadła głucha cisza, w której wybrzmiewały ostatnie słowa Tekli. Jan nie zamierzał z nią polemizować. Sam zdawał sobie z tego wszystkiego sprawę. Nie wiedział tylko, czy bał się na głos powiedzieć to, co żona nazwała z taką łatwością, czy naiwnie wierzył, że ciężkie czasy odeszły w niepamięć.

– Zanim poruszyłeś sprawę pożyczki, chciałam ci powiedzieć, że zamierzam odwiedzić kuzynkę Agnieszkę z Wieliczki. – Tekla podniosła się z fotela i z góry bacznie obserwowała reakcję Jana. – Nie byłam tam lata całe, a sytuacja w mieście strasznie mnie męczy. Zresztą zapewne niedługo znowu zaczniesz każdą wolną chwilę poświęcać cukrowni hrabiego. Stefcu też nie ma całymi dniami. Nie mam ochoty

siedzieć sama w czterech ścianach, a wyjście na miasto przestało mnie cieszyć już dawno temu.

– Nie zamierzam zabraniać ci wizyty u kuzynki, ale nie wydaje mi się, żebyśmy z cukrownią mieli ruszyć w najbliższym czasie, chociaż byłoby to rozsądne, skoro do Krakowa ściąga się całymi wagonami cukier, chociażby z Poznania. Jednak po ostatniej rozmowie z Michałowskim dochodzę do wniosku, że wojna i wydarzenia w rodzinie hrabiego mocno ostudziły jego zapędy jako przedsiębiorcy, a i Frau Goldbaum nie wykazuje chęci wznowienia budowy. Coś mi się zdaje, że gdzie indziej upatruje interesu. Tak więc zapewne będę bywał w domu znacznie częściej, niż mogłoby się wydawać. – Jan zerknął na Teklę. – Widzę jednak, że podjęłaś już decyzję.

– Wczoraj wysłałam do Agnieszki telegram. Na dniach spodziewam się odpowiedzi. Gdyby zechciała mnie ugościć, wyjadę za dwa, może trzy tygodnie.

Jan uniósł brwi, dziwiąc się temu pośpiechowi.

– Tak szybko? Na początku marca? Nie poczekaasz, aż zrobi się cieplej?

– Zima w Wieliczce jest bardzo malownicza. O ile mnie pamięć nie myli, bo ostatnio wizytowałam dom kuzynki, będąc dzieckiem, jest tam piękniej niż w Krakowie. Chciałabym móc nacieszyć oczy tym widokiem, o ile nie masz nic przeciwko.

– Absolutnie nie mam. – Jan wzruszył ramionami, dając Tekli do zrozumienia, że zgadza się z jej planami.

## Rozdział 4

Na dworze było jeszcze szaro, kiedy w sobotę piętnastego lutego Julian wszedł do prawie pustego kościoła św. Jana Chrzyciela, w którym za niecałą godzinę miała się odbyć msza w intencji zmarłego Edmunda Szalita.

Julian przeżegnał się powoli, spokojnie, dokładnie, zamykając przy tym oczy. Od dawna nie był w kościele. Ani tu, ani w żadnym innym. Od dawna nie oddawał się modlitwie, co nie znaczyło, że przestał wierzyć. Po prostu doszedł do wniosku, że modlitwa nie ma sensu. Nigdy jeszcze jego prośby, modły i błagania nie zostały wysłuchane, a on od dziecka nie lubił tracić czasu na coś, co okazywało się nieskuteczne i nie przynosiło spodziewanych rezultatów. Kiedy jednak przypadkowo dowiedział się, że żona Edmunda w dniu urodzin męża wykupiła mszę za spokój jego duszy, postanowił wziąć w niej udział, oddając swoją obecnością hołd człowiekowi, którego miał przyjemność nazywać swoim przyjacielem.

Odetchnął głęboko, napawając się spokojem tego miejsca. Tylko w kościołach tak starych jak ten czuł tę nabożność wypełniającą mury. Każdy centymetr tego miejsca wydawał się emanować boskim natchnieniem, dającym ukojenie nawet tak niespokojnym i zmęczonym duszom jak jego.

Usiadł w jednej z ostatnich ławek, pragnąc schować się przed oczami tych kilku wiernych, którzy z jakichś powodów przyszli tu równie wcześnie. Wykorzystując swoje miejsce, dyskretnie otaksował

modlących się, szukając znajomych twarzy. Kiedy już myślał, że nie znajdzie nikogo, kogo mógłby znać, jego wzrok napotkał smutne spojrzenie młodej kobiety ubranej w żałobną czerń. Prawie niewidoczne skinienie głowy przywołało Juliana do ławki, w której siedziała wdowa po Szalicie. Wstał zatem i wolnym krokiem podszedł do Walentyny. Zanim spoczął obok niej, uściśnął jej delikatną dłoń, zapewniając bez słów o zrozumieniu i współczuciu dla bólu, z jakim musiała mierzyć się każdego dnia.

– Wiesz, że chcieliśmy wziąć ślub w tym kościele, ale mojej matce nie podobało się, że dookoła trwały prace wykopaliskowe. Próbowała mnie przekonać, że skoro tak bardzo zależy mi na tym miejscu, powinnam poczekać, aż skończą, ale oni dopiero zaczęli. Podświadomie wiedziałam, że potrwa to dłużej niż kilka miesięcy. W końcu uległam utyskiwaniom matki i zrezygnowałam – mówiła Walentyna, kiedy wraz z Julianem zatrzymali się przed wejściem do świątyni tuż po skończonej mszy.

– Pamiętam doskonale te wykopaliska. Zaczęli w 1906, byłem jeszcze w Krakowie przez kilka miesięcy. Potem wyjechałem do Paryża, na studia.

– Może byliśmy tu wtedy wszyscy troje, nawet nie zdając sobie sprawy, że życie jeszcze zetknie nasze drogi? Może już wtedy los zaznaczył, że ty i Edmund nie tylko będziecie razem pracować, ale i zaprzyjaźnicie się ze sobą? – Walentyna zerknęła w stronę wciąż otwartych drzwi kościoła. Na chwilę pomiędzy nią a Julianem zapadła cisza. – Wierzysz w przeznaczenie? – zapytała.

– Nie wiem – odparł Julian. Nie zastanawiał się nad tym.

– Ja wierzę, bo zaledwie dwa dni temu zastanawiałam się, jak mam się z tobą skontaktować. A tu proszę, spotykam cię w miejscu, które jest ostatnim, w jakim przypuszczałabym cię spotkać. Przyjdź jutro do nas. Do domu, na ulicy Szlak 21. Pamiętasz gdzie, prawda?

Julian potwierdził skinieniem głowy.

– Chciałabym z tobą porozmawiać. – Bez dalszych wyjaśnień odeszła, zostawiając Michałowskiego z wieloma pytaniami.



Było wczesne popołudnie, kiedy Julian stanął przed drzwiami kamienicy na ulicy Szlak 21. Nie był tu od dawna. Od bardzo dawna, pomyślał, spoglądając w okna na piętrze, na którym kiedyś mieściła się kancelaria. W jednej chwili wróciły setki wspomnień. Jednak najlepiej zapamiętał i wspominał pierwszy dzień, kiedy pojawił się na rozmowie z Edmundem, która to zamiast odbyć się w jego gabinecie, przebiegała mniej oficjalnie w drodze do domu profesora Bobrzyńskiego. Już wtedy Julian upewnił się, że Edmund zostanie nie tylko jego pracodawcą, z czasem może współnikiem (co niestety nigdy się nie zdarzyło), ale także przyjacielem. Brakowało mu wspólnej pracy, przeszukiwania stosu dokumentów, przygotowywania akt procesowych i rozmów, jakie prowadzili, nie odrywając się od roboty. Zapamiętał Edmunda jako człowieka zazwyczaj poważnego, który rozpromieniał się, opowiadając o żonie i córce Stanisławie, będącej wówczas małym szkrabem. Dziewczynka skradła i serce Juliana.

Zanim wszedł na klatkę schodową, wziął głęboki, pocrzepiający oddech. Pchnął ciężkie wejściowe drzwi i ruszył w górę kamiennymi schodami, które nie tłumili jego ciężkich kroków.

– Wejdz. – Walentyna Szalit powitała go w progu. Odsunęła się od drzwi, wpuszczając gościa do środka. – Stasia bawi się w salonie, ale nie będzie nam przeszkadzać. To bardzo ciche dziecko.

Chwilę później Julian powiesił okrycie i ruszył za wdową po Edmundzie. Prowadziła go długim i wysokim korytarzem, po którego prawej stronie znajdował się szereg zamkniętych lub przymkniętych drzwi, prowadzących zapewne do kuchni, spiżarni, garderoby, służbówek i łazienki. Na końcu reprezentacyjnego hallu znajdował się

obszerny salon, skąpany w promieniach lutowego słońca, które wpadało do środka przez okna: jedno wysokie oraz drugie półokrągłe, wprawione w półkolisty wykusz w rogu pokoju. To tam, na kocu rozłożonym na drewnianej podłodze, bawiła się Stanisława Szalit.

– Dzień dobry – powitała Juliana, wstając z kolan i dygając lekko, jakby kłaniała się królowej.

– Dzień dobry – odpowiedział Julian, uśmiechając się do jasnowłosej dziewczynki, która przyglądała mu się znajomymi oczami. Oczami Edmunda.

– Czy mam iść do swojego pokoju, proszę mamy? – zapytała cichutko, zwracając się do Walentyny.

– Nie, kochanie. Możesz bawić się tutaj.

Dziewczynka przykucnęła ponownie na kocu, całą swoją uwagę kierując ku rozłożonym na nim lalkom.

– Proszę, usiądź. – Walentyna wskazała na wygodny fotel stojący pod ścianą na wprost okiennego wykusza, gdzie ustawiono żardinierę z wyeksponowanymi kwiatami doniczkowymi. – Pozwolisz, że zostawię cię na chwilę. – Po tych słowach ruszyła w stronę kuchni.

Julian rozejrzał się po pokoju. Eleganckie meble, niektóre pamiętające zapewne czasy dziadków, rozstawiono pod ścianami, zostawiając środek pusty. Stojący na ozdobnym stoliku polifon sugerował, że kiedyś Szalitowie wydawali wystawne bale.

Wzrok Michałowskiego przyciągnęły ciężkie rozsuwane drzwi, za którymi zapewne krył się gabinet pana domu. Gość zastanawiał się, czy Walentyna zostawiła w nim wszystko bez zmian, czy może pokój zyskał nowe przeznaczenie. Kolejne, mniejsze drzwi prowadziły do jadalni, którą widział z zajmowanego miejsca, a że pokoje ułożone były w systemie amfiladowym, tuż za jadalnią zauważył kolejną izbę. Był to mały pokoik, sądząc po wystroju, należący do Stanisławy. Julian musiałby się wychylić – czego nie chciał robić, aby nie zostać posądzonym o nadmierną ciekawość – żeby zobaczyć, czy tuż za pokojem

dziewczynki znajdowała się małżeńska sypialnia. Jeżeli mieszkanie Szalitów miało standardowy rozkład, tak właśnie musiało być.

Powrót Walentyny przerwał Julianowi wzrokowe zwiedzanie domostwa.

– Herbata będzie za chwilę. Zapewne jesteś ciekaw powodów, dla których cię zaprosiłam. Wyjeżdżam do siostry, Antoniny. Jak wiesz, ona też jest wdową. Pewnie gdybyś wcześniej zaczął współpracować z Edmundem, ten bez zastanowienia zaangażowałby cię w proces Stanisława. Uważał, że jesteś bardzo utalentowany. Stworzony do bycia prawnikiem. Gdyby żył, nie pozwoliłby ci odejść od prawa. Zrobiłby wszystko, żebyś znowu zaczął pracować. Dziwisz się, skąd wiem, że nie praktykujesz? Wbrew pozorom Kraków to małe miasto, a jeżeli jesteś synem Michałowskiego, musisz być przygotowany na to, że ludzie interesują się bardziej twoim niż swoim życiem. Jak znam Edmunda, nalegałby tak długo, aż w końcu byś uległ i znowu stanął z nim ramię w ramię na wokandzie.

– Chyba jestem na dobrej drodze, aby tak się właśnie stało. Dojrzałem do tej decyzji. Wracam do pracy i zamierzam nie tylko ponownie otworzyć kancelarię, ale i zakończyć studia doktoratem.

– A więc to jednak przeznaczenie – skwitowała Walentyna, nadal niczego nie wyjaśniając.

Na chwilę przerwali rozmowę. Do salonu wszedł młody chłopak niosący tacę z dzbankiem parującej herbaty i dwoma wykwintnymi porcelanowymi filiżankami. Na niewielkich talerzykach podano także kruche ciasteczka z odrobiną konfitury.

– Jakimś cudem przetrwały najgorsze czasy. Uratowałam je na takie chwile jak dziś. – Walentyna uśmiechnęła się do Juliana, widząc jego uniesioną w zdziwieniu brew. Upiła łyk herbaty. – Jak już wspomniałam, wyjeżdżam. Najpewniej na długo, może na stałe. Jeszcze nie zdecydowałam, ale wiem na pewno, że nie wrócę do Krakowa przez najbliższe dwa, trzy lata. Nie mam jednak zamiaru sprzedawać

mieszkania, a jeżeli będzie stało puste, pójdzie na zatracenie. Z domem jest jak z człowiekiem. Musi żyć, żeby jakoś wyglądać. Mieszkanie bez domowników umiera, nawet jak ktoś zagląda do niego od czasu do czasu. Zamierzam je wynająć, tak samo jak to, w którym swego czasu Edmund miał kancelarię. To niesamowicie wygodne. Usprawnia pracę i życie. Mieszkać i pracować w jednym budynku. Niewyobrażalny luksus, nie sądzisz?

Pytanie było retoryczne, dlatego Julian nie odpowiedział. Zrozumiał zamiary Walentyny.

– Jeszcze nie dałam ogłoszenia. Tamtego dnia, w kościele, już wiedziałam, że w jakiś sposób muszę się z tobą skontaktować. Bóg mi cię zesłał. Nie przedłużając, zapytam wprost. Czy zechcesz wynająć ode mnie mieszkanie i kancelarię?

– A zatem masz rację. Przeznaczenie istnieje – podsumował Julian, ciesząc się, że właśnie podjął bardzo ważną decyzję, i smucąc jednocześnie na myśl, że czeka go przeprowadzka.